

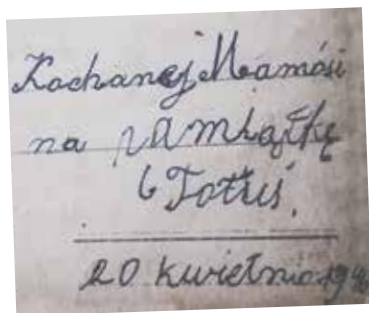


ARCHIWUM PRYWATNE X 2

KOCHANĄJ MAMÓSI

Córka Matiego Greenberga twierdzi, że w jego ratowaniu brali udział Polacy oraz anioł, który został w pracy po godzinach.

KAROLINA PRZEWROCKA Z TEL AWIWU



PIERWSZY OBRAZ, KTÓRY ZAPAMIĘTAŁ Z DZIECIŃSTWA, ROZMAZAŁY lży. Widać przez nie niewiele: ma trzy lata, siedzi w pociągu, obok leży paczka zawinięta w niebieski papier. Chwilę wcześniej była z nim jakaś kobieta. Powiedziała, że musi na chwilę odejść. Nie wraca. Mati boi się, piąstkami trze powieki napuchnięte od wzbierającego płaczu.

Kolejne wspomnienie: z tabunem dzieci skacze po workach z mąką, do jednego wpada, mąka bieli mu jasne loki, on zanosi się od śmiechu. Miejsce jest jasne i dobre, pachnie świeżo upieczonym chlebem. Strach z pociągu minął. Teraz opiekuje się nim młoda kobieta. Czasem przebiera go za dziewczynkę i wywozi do miasta, gdzie obcy ludzie zachwycają się jego urodą.

Tyle Mati Greenberg pamięta ze swojego dzieciństwa w Polsce w latach 1940-45. Między wspomnieniami są obszerne luki, nie potrafi połączyć ich w spójną całość. Nie wie, jakim cudem znalazł się w pociągu, kim była kobieta, która go tam zostawiła. Kto go z pociągu zabrał, jak trafił do rodziny piekarzy. I dlaczego właściwie w 1946 r., gdy na podwórku u piekarzy pojawiło się młode małżeństwo, które podało się za jego prawdziwych rodziców, po prostu przyjął to do wiadomości.

Kukułcze jajo

Naprawdę nazywał się Anatol Wajnsztajn, urodził się w 1939 r. w Warszawie. Pierwsze miesiące życia spędził w domu przy ul. Chłodnej. Po wydzieleniu dzielnicy żydowskiej wraz z rodzicami, Cylą i Mieczysławem, przenieśli się do getta, do mieszkania przy ul. Waliców.

Wiosną 1943 r. Mieczysław został ranny podczas produkcji granatów dla powstania, które lada chwila miało wybuchnąć w getcie. Nie zdążył do niego pójść – zmarł. Cyla została sama. Udało jej się przenieść małego Tola na tzw. stronę aryjską, do polskiej rodziny tramwajarzy. Gdy rodzina nie chciała dłużej ukrywać dziecka, na opiekę zgodziła się dawna sąsiadka Cyli, pani Klemensiewiczowa, której mąż pił i nie dbał o nią i dzieci.

Dzieckiem interesowała się Antonina Liro – Polka, spokrewniona z Wajnsztajnami przez swojego męża, adwokata Jakuba Juliusza Kamienieckiego. W Warszawie została sama, mąż uciekł na Zachód, by ratować życie. Przychodziła do Klemensiewiczów i zabierała Tola na spacer. Gdy Niemcy obwieścili, że za ukrywanie Żydów – także dzieci – grozi rozstrzelanie, pani Klemensiewiczowa postanowiła odprowadzić Tola na posterunek. Jej pijany mąż wykrzykiwał, że żona ukrywa małego Żyda, i że nie chce się z nim dzielić pieniędzmi. Dozorca domu zaczął zadawać pytania.

Antonina Liro, która dowiedziała się o całej sprawie, zabrała Tola. Sama właśnie się ukrywała: otrzymała wezwanie na roboty do niemieckiej fabryki zbrojeniowej.

Po kilku dniach błąkania się po ulicach Warszawy postanowiła pojechać z Tolem pod Radzymin, gdzie mieszkali jej rodzice. Gdy dojechali na miejsce, zobaczyła rodziców: stali pod ścianą domu, z uniesionymi rękami. Zobaczyła też Niemców: wyciągali z szopy żydowską rodzinę.

Załamana, wróciła z Tolem do Warszawy. Zaprowadziła na dworzec główny, wsiadła do pociągu i zostawiła dziecko w przedziale w towarzystwie starszych kobiet.

Miała nadzieję, że któraś z nich może go przygarnie.

List z Warszawy

Gdyby nie córka, Jael, Mati pewnie nie szukałby dalej. Ale Jael się uparła: był rok 2014, lada chwila miał się urodzić jej pierwszy syn. Chciała wiedzieć, jak to się stało, że żyje. Jak to możliwe, że jej ojciec, Mati Greenberg, przetrwał wojenną zawieruchę z dala od obozów śmierci, że nie stało się z nim to, co z sześcioma milionami Żydów. Denerwowało ją, że ojciec wciąż tak mało o sobie wie. Czuła, że to ostatni moment, by szukać informacji o rodzicach Matiego.

Gidi Poraz, izraelski detektyw genealogiczny, do którego zwróciła się Jael [pisaaliśmy o nim w „TP” nr 31/2015 – red.], początkowo nie chciał zająć się sprawą. Wtedy Jael przesłała mu list, który ojciec otrzymał w 1995 r. (dziś Gidi pokazuje list w prezentacjach dla kolegów po fachu: jako przykład sprawy, w której od jednego skąpego dowodu, kartki papieru, można dojść do rzeczy wielkich).

Mati dostał ten list krótko po emisji filmu „Lista Wandy”, o żydowskich dzieciach uratowanych z Holocaustu. W 1995 r. izraelska telewizja wyprodukowała go wraz z telewizją z Polski i wyemitowała w tym samym czasie.

Warszawianka Anna Liro pamięta ten wieczór. – Usiadłyśmy z mamą przed telewizorem. Nagle na ekranie pojawił się Mati. Naraz krzyknęłyśmy: to musi być Tolo! Mama od razu napisała do niego list, adres pomogła nam zdobyć Elżbieta Ficowska – opowiada.

Wkrótce Mati odnalazł w skrzynce list z Warszawy. Z nazwiskiem na odwrocie, które nie mówiło mu nic: Antonina Liro. Zaczął czytać. Zbladł, zrobiło mu się słabo.

Antonina opisała w liście szczegóły jego najwcześniejszych miesięcy życia: od urodzenia aż do chwili, gdy wsadziła go do pociągu. „Przez wiele lat rozmyślałam o Tobie, o tym, jak i gdzie żyjesz. Cieszę się ogromnie, że mogę Ci opowiedzieć o tych czasach, o Twojej Rodzinie i o moich z nimi związkach” – pisała. I dalej: „W lutym 1940 roku zostaliśmy zaproszeni na uroczystość Twojego obrzezania. Jesteś ich pierwotnym synem i jedynym. Pamiętam ten dzień, byłeś maleńki i bardzo płakałeś”.

I jeszcze: „Byłeś prześlicznym dzieckiem. Miałeś wspaniałe jasne włosy całe w lokach. Pamiętam, że raz byłeś ubrany w granatową bluzeczkę w białe grochy i białe spodnie. Podczas spaceru Niemcy spotykani na ulicy głośno zachwycali się Twoją urodą”.

I w postscriptum: „Jestem już stara i schorowana. Mam jednak nadzieję, że będę miała okazję Cię zobaczyć, bo tyle jest jeszcze do opowiadania. Miałam piękny album z zdjęciami Twojej Rodziny, niestety w Powstaniu Warszawskim wszystko spłonęło”.

Kilka dni później Mati leciał do Warszawy. Na lotnisku czekała Anna. Następnego dnia, po raz pierwszy od czasu wojny, ścisnął dłonie jej matki, swojej wybawicielki.

Żydzi i „Żydki”

– Mama mówiła o Tolu, odkąd pamiętam – wspomina dziś Anna Liro. – To była piękna historia, dlatego prosiłam w kółko, żeby ją opowiadała. Była pewna, że przeżył wojnę. Myślałam, że próbuje mnie pocieszyć, więc wymyśla dobre zakończenie. Teraz wiem, że mama mówiła prawdę i była przekonana, że zrobiła absolutnie wszystko, co mogła, aby dać Tolowi szansę na przeżycie. Miałam do niej pretensje, że zostawiła dziecko w pocią-



KAROLINA PRZEWROCKA

Na stronie po lewej: zdjęcie Tolka – Matiego, ofiarowane w 1946 r. Wandzie Bulik, poniżej dedykacja. Powyżej: Mati i Anna Liro w Tel Awiwie, luty 2016 r.

gu. Gdy jej o tym mówiłam, bardzo się denerwowała. Mówiła, że nie rozumiem okoliczności, w jakich musiała podjąć tę decyzję.

Dziś Anna Liro mówi, że dzięki mamie i historii Tola czuje się uwolniona od pokłosa wojny. – W dzieciństwie zauważałam, że wbrew temu, co wiedziałam z domu, odczucia społeczne względem Żydów były mieszane, że ciągle były jakieś do nich pretensje. Pamiętam, że w pierwszej kolejności musiałam zmierzyć się z obawą przed wypowiedzianiem słowa „Żyd”. Mówiło się wówczas: „Żydek”. Może dlatego, że „Żyd” to słowo, które w czasie okupacji oznaczało zagrożenia, śmierć? – zastanawia się Anna. – A ja dzięki Tolowi mogłam się z tym wszystkim zmierzyć, poukładać, oswoić. Całkowicie wyzwoliłam się z dziedzictwa wojny.

W 1996 r. instytut Yad Vashem uhonorował Antoninę tytułem Sprawiedliwej wśród Narodów Świata. Zmarła w 2006 r., w wieku 91 lat.

Synek Wandy

Pisząc list do Matiego, Antonina nie wiedziała jeszcze, co stało się z chłopcem w pociągu. A stało się inaczej, niż zakładała. Żadna z kobiet w przedziale nie zainteresowała się Tolkiem. Jeździł więc tam i z powrotem, na trasie z Mińska Mazowieckiego do Warszawy, pod skupionym okiem konduktora.

Po kilku godzinach do przedziału wsiadła 17-letnia Wanda Bulik. Jechała do Warszawy, na lekcje tańca i angielskiego. W kłapie miała wpięty symbol Czerwonego Krzyża. Może dlatego konduktor wybrał właśnie ją?

Wskazał na dziecko. Chłopiec kurczowo trzymał się niebieskiej paczuszki. Wanda znalazła w niej kartkę z informacją, że

dziecko nazywa się Tolek Wajnsztajn i prosi o opiekę. Paczkę wypełniały czyste bluzeczki, sweterki, spodnie na szelkach.

Wzięła go za rączkę, zawróciła i zawiozła do domu w Wesolej. Oświadczyła rodzicom, że zostanie jego mamą. Ignacy i Józefa Bulik mieli w Wesolej dom i piekarnię. Widzieli, że dziecko jest obrzezane. Wiedzieli, co za to matkowanie Wandy im wszystkim grozi. Zaufany policjant granatowy, Heniek Bukiniec, przypomniał im o konsekwencjach. Wiele lat później Tolo zapytał syna Bulików, jak to się stało, że go jednak zatrzymali. – Odpowiedział: „Mieliśmy co jeść, mieliśmy w domu kilkoro dzieci, a ty byłeś w dodatku ślicznym malcem”. I dodał, że nie wyrzuca się dzieci na ulicę – wspomina Mati Greenberg, gdy rozmawiamy w Tel Awiwie.

Bukiniec regularnie informował rodzinę o nadchodzących łapaniach. Bulikowie wybierali wtedy Tola za dziewczynkę i wywozili do znajomych. Sąsiadom powiedzieli, że Tolek jest dzieckiem dalszych krewnych, którzy oddali go na wychowanie. – Bukiniec zabrał mnie raz do Warszawy, do Bristolu. Podszedł do nas wyższy ranga gestapowiec, uśmiechnął się i zapytał, czy mógłby mnie adoptować. Byłem klasycznym aryjskim typem – opowiada Mati.

U Bulików Tolek-Mati bezpiecznie doczekał końca wojny. A w 1946 r. w Wesolej zjawiła się Guta Greenberg.

Z listu Antoniny: „Po wyzwoleniu dowiedziałam się od Guty Grinberg (...), że odnalazła Ciebie w piekarni, jak sprzedawałeś chleb. Guta Grinberg, którą znałam jeszcze przed wojną, była krewną Twoich rodziców i Julka. To była bardzo przedsiębiorcza kobieta, zajmowała się handlem głównie →

→ ryżem. W czasie wojny ukrywała się po stronie aryjskiej z 18-letnim synem Jakubem i mężem Julkiem. Tuż po wojnie otworzyła w Warszawie sklep z warzywami i podróżując w poszukiwaniu towaru natrafiła na Ciebie. Byłam pewna, że Guta, która zamierzała wkrótce wyjechać z Polski, zaopiekuje się Tobą. Straciła w Powstaniu Warszawskim syna. Intryguje mnie ta sprawa, tym bardziej, że obecne Twoje nazwisko brzmi podobnie”.

O tym się nie mówi

Mati nie pamięta dokładnie tamtego dnia. Wie tylko, że powiedziano mu, iż Greenbergowie są jego rodzicami, i że teraz będzie mieszkał z nimi.

W swoim mieszkaniu w Tel Awiwie powiesił na ścianie fotografie, które Greenbergowie zrobili mu przed wyjazdem z Polski. Wspomina: – Mieszkałam wóczas na Pradze. Wanda przyjeżdżała tam ze swoją mamą, by mnie odwiedzić. Podczas jednej z wizyt dałam jej zdjęcie. Na odwrocie zapisałam, z błędami: „Kochanej Mamosi na pamiątkę Toluś. 20 kwietnia 1946”.

Wanda opowiadała mu później, że po wyjeździe z Polski próbowała go szukać. Ale nie miała innych danych, prócz prawdziwego nazwiska Tolka i aryjskiego nazwiska Guty i jej męża (Rajscy). Greenbergowie wyjechali z Polski do Francji, zostali tam przez kolejne półtora roku. Większość czasu Mati spędził tam nie z rodzicami, lecz z grupą dzieci zorganizowaną przez Lenę Küchler-Silberman.

W sierpniu 1947 r. przyjechali do Izraela. – Tworzyło się nowe państwo i nikt nie miał cierpliwości do ocalałych z Holocaustu. Temat został zamieciony pod dywan. Wiedziałem, że mam rodziców, którzy ocaleli, i że miałem starszego brata, który zginął w Powstaniu Warszawskim. Uczono mnie, by nie zadawać pytań, zachowywać się grzecznie, być posłusznym. „O tym się nie mówi”, powtarzała mama, gdy pytałem o naszą przeszłość. Więc nie pytałem – mówi dziś Mati.

Bał się, że matka kryje jakąś straszliwą tajemnicę. Że chodzi o ojca. Że może kolabrował podczas wojny z Niemcami.

Mati mówi po polsku, i to doskonale, bo w tym języku wychowywali go w Izraelu Greenbergowie. Nie znali jeszcze hebrajskiego. – Większą część mojego życia z rodzicami mieszkałem poza domem. Najpierw we

Muzeum Sprawiedliwych

W TEN CZWARTEK, 17 marca, w Markowej na Podkarpaciu otwarte zostanie Muzeum Polaków Ratujących Żydów podczas II wojny światowej im. Rodziny Ulmów – pierwsza polska instytucja muzealna zajmująca się taką problematyką. Ulmowie przez półtora roku ukrywali w swoim domu w Markowej dwie żydowskie rodziny. 24 marca 1944 r. niemieccy żandarmi zabili Józefa Ulmę, jego żonę Wiktorię, sześcioro ich dzieci i ośmioro Żydów o nazwisku Szall i Goldman: pięciu mężczyzn, dwie kobiety i dziecko.

Dlaczego Ulmowie zaryzykowali życiem swoim i dzieci? Jakimi motywami kierowali się inni Polacy pomagający Żydom? Jak upamiętnić ich ofiarę? O tym opowiemy w dodatku historycznym, który ukaże się za dwa tygodnie, wraz z 14. numerem „Tygodnika”.

Francji. Potem w Izraelu: w kibucu, internacie, w szkole wojskowej w Hajfie. A jak wcielono mnie do wojska, właściwie w ogóle nie mieszkałem w domu – mówi Mati.

Jeśli już był w domu, czuł silne napięcie. Mati: – Miałem dwa światy: dom i poza domem. Nie mogłem przyprowadzić kolegi do domu, bo nie miałem swojego pokoju. Choć mieszkanie mieliśmy trzypokojowe, spałem na rozkładanym łóżku. Kiedy jakiś kolega przychodził, mama złościła się: czemu on nie wstaje, gdy wchodzi do pokoju? Nie chcę, byś miał kontakt z niewychowanymi dziećmi!

Bolała go fasadowość relacji z Greenbergami. Tak właśnie mówi – fasadowość. Gdy rozmawiamy o jego rodzicach, nie nazywa Guty „mamą”. Mówi krótko: „ona”.

Mati: – Później dopiero zrozumiałem, że byłem dla nich zastępstwem za syna, którego stracili. Staralem się to zaakceptować, przejść przez to. Swobodę poczułem dopiero, gdy trafiłem do szkoły wojskowej.

Mati został zawodowym wojskowym. Zrobił w armii karierę, w armii izraelskiej dosłużył się pułkownika.

Z wyboru przyszłej żony matka była zadowolona: ożenił się w 1964 r. z Ireną, pochodzącą z Krakowa. Gucie zależało, aby żona była z Polski.

Kiedy dowiedział się, kim naprawdę byli jego rodzice i skąd wziął się u Greenbergów?

Mati prosi o wyłączenie dyktafonu.

Zablokowane historie

– Guta zawsze przekonywała mnie, jakie to grube pieniądze zapłaciła, by wyciągnąć mnie od Bulików – wspomina Mati. – W rabinacie wojskowym spotkałem kiedyś pew-

nego kapitana, który po wojnie zajmował się odszukiwaniem żydowskich dzieci pokrzywanych po wsiach. Powiedział mi: „Ja twoją historię dobrze pamiętam. Byłeś jedynym dzieckiem, za które ukrywająca je rodzina nie chciała żadnych pieniędzy, choć im oferowałem. Mało tego, postawili jeden warunek – że oddadzą cię tylko wtedy, gdy wejdiesz do jakiejś rodziny. Że gdybyś miał pójść do sierocińca, to cię nie oddadzą”.

Wkrótce po emisji filmu w telewizji, gdy Mati był już w Warszawie po spotkaniu z Antoniną, ktoś zostawił mu w hotelu kartkę z numerem telefonu. To była Wanda.

Mati: – Razem z siostrą oglądały film. Następnego dnia Wanda pobiegła do Żydowskiego Instytutu Historycznego, a tam przekazano jej, że właśnie jestem w Warszawie.

Następnego dnia Mati tulił już drugą osobę, której zawdzięczał swoje życie. „Przyjechała. Siwiuteńki, jak świeca wysoki, ja mu do ramienia, z kwiatami, myślałam, że mnie udusi w przedpokoju. Boże, co to było za przywitanie” – opowiadała Teresie Torańskiej Wanda Bulik w 2008 r.

Rodziny Matiego, Wandy i Antoniny przyjaźniły się, do dziś trzymają się blisko. Mati liczy, że rośnie już piąte pokolenie, w którym ich losy są tak splecione. „Moje polskie rodziny”, mówi o nich.

Zaznacza, że to relacje, w których otwarcie rozmawia się o trudnej przeszłości. W tych rozmowach wspiera go żona Irena, również ocalona z Holocaustu. Ale o swojej historii dziennikarzom opowiadać nie chce. Mati: – Każdy, kto przeżył tę wojnę, ma jakąś trudną historię. To wszystko przez lata było w nas pozamykane, zabarykadowane. Aby o tym opowiadać, trzeba przejść do następnego etapu. Może kiedyś przyjdzie czas na opowieść Ireny.

Chciałby teraz wiedzieć więcej o swoich rodzicach, Cyli i Mieczysławie Wajnsztajnach. Informacji o nich szuka z pomocą detektywa Gidiego Poraza. Na razie jedyną informacją, jaką posiada, jest własne odbicie w lustrze. Antonina Liro powiedziała mu, że jest kopią swego ojca.

W lutym 2015 r. Mati odebrał telefon z Warszawy. Dzwoniła Ewa, córka Wandy Bulik, z informacją, że u mamy wykryto raka. Matiemu właśnie urodził się pierwszy wnuk, zrobił mu zdjęcie. Pojechał do Wandy z albumem – ze zdjęciem malej dziecięcej rączki ściskającej rękę dorosłego na okładce. Powiedział: „Itamar to twój prawnuczek”. Plakała.

Wanda Bulik zmarła 16 kwietnia 2015 r. Wcześniej, w 1996 r., uhonorowano ją, jej mamę, ojca i brata tytułami Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.

Na wieńcu od Matiego umieszczono białą szarfę. Napis głośił: „Kochanej Mamosi na pamiątkę Toluś”.

©

KAROLINA PRZEWROCKA

RDC KAROLINA PRZEWROCKA
POLSKIE RADIO będzie gościem Grzegorza Chlasty
w środę 16 marca o godz. 9.00 w Polskim Radiu
RDC. Autorka opowie o swojej współpracy przy
„Przewodniku po Ziemi Świętej” ks. Bonieckiego.
Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom
89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM |
Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie
– www.rdc.pl